

Gnatowski Jan.

Jeden x prądów nauki poezji wspól-  
czesnej. [Maria Konopnicka]



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

X  
JEDEN Z PRĄDÓW  
NASZÉJ POEZJI WSPÓŁCZESNÉJ.

(Marya Konopnicka, „Poezye,” serya pierwsza, wydanie drugie. Warszawa, 1883. — Serya druga, Warszawa, 1883. — „Z przeszłości.” Fragmenty dramatyczne. Wilno, 1881).

X  
I.

Stare podanie o Tyrtuszu, jak wiele greckich legend, nie przestało powtarzać się przez ciąg wieków w coraz to nowych formach. Jak dawniej tak i dziś poezja nie karmi się samą tylko olimpijską ambrozją, wonią róż i jaśminów i śpiewem słowików; tleją w niej nieraz iskry, zdolne pociągnąć ku sobie, rozgrzać, zapalić tłumy—i płomieniem niepowstrzymanym objąć szerokie przestrzenie. Ojczyznę poety nie są jedynie idealne światy, promieniujące wieczną wiosną i niezmiennymi w swój piękności kształtami, pomiędzy które nie przynoszą nigdy fałszywego dźwięku des Lebens flach alltägliche Gestalten. Obok tych mar złotych istnieją światy inne, różne od nich, jak szara i smętna rzeczywistość życia od tęczowego złudzenia, światy „pracujące w bólach i odmęcie,” krwawe od walk i postarzałe wcześniej od cierpień; światy rwące się wciąż w górę do światła, choćby to był ogień błędny albo gwiazda spadająca—i jak ona po daremnym wysiłku, znikające w otchłani bezdennéj, złamane, bezsilne, z jękiem przekleństwa i rozpacz. Inny mit grecki—o zuchwalcze, który w promieniach słonecznych opalił sobie skrzydła—jest nieśmiertelnym obrazem ich losów — a historia tego wiecznego Ikara—ludzkości, zbiorowo i w częściach składowych pojętej, pozostanie zawsze dla poety żywym, choć nie z samych tylko świetlnych włókien spletanym wątkiem.

Boski poemat Dantego był takim pomnikiem myśli, uczuć, porywów epoki całej; tak samo, jak wyrazem przedrewolucyjnej „Sturm- und Drangperiode” w jéj socyalnych i politycznych aspiracyach była „Ka-

X Bibl. Warsz. 1883, grudzień X

<https://www.dlibra.org.pl>

bale und Liebe," „Fiesko," „Don Carlos," „Die natürliche Tochter," a w pojęciach filozoficznych pierwsza część „Fausta" i bezwyznaniowa powieść Natana o trzech pierścieniach. Każda epoka, nasza jak inne, miała swego Tyrteusza, który ją prowadził do zwycięstwa a przynajmniej do walki, a po walce opiewał jej chwałę lub siadał płakać na ruinach, jak Jeremiasz. Tylko, że od czasu jak Sparta uwieńczyła skroń Tyrteusza laurem zwycięzcy, zazdrośni sąsiedzi nie potrzebują przysyłać naśladowców poety społeczeństwu walczącemu. W ich łonie własnem znajdzie się zawsze dość, nadto ochotników do zaszczytnej roli duchowego przywódcy. A niedość, że ich więcej, oni sami bywają czasem insi.

Kiedy nazajutrz po dniach czerwcowych August Barbier rzucał garścią piorunów w twarz znikczemniemu społeczeństwu, które jak tłuszcza łakoma i niesforna spieszyło rozerwać pomiędzy siebie łupy wczorajszego zwycięstwa, był to wyrwany z głębi duszy okrzyk natury szlachetnej i zdrowej, zdrowszej od otaczającego świata, przecinającej wrzody społeczne ostrzem satyry, ale dlatego jedynie, żeby złe zniszczyć w zarodzie i chorego wyleczyć. W tym samym czasie a niedługo później i w tém samym miejscu zaczynał rozlegać się gorzki, szydery, pełen żółci i ironii śmiech innego poety, który—on także—światu całemu a zwłaszcza ojczyźnie z bezpiecznego schronienia na obcej ziemi, posyłał policzki satyry bezlitosnej. O „Jamba ch" przypomnieliśmy sobie wtedy dopiero, gdy zapomnianemu poecie przed dwoma laty śmierć dała raz jeszcze chwilę rozgłosu; imię autora „Deutschland" pamięta każdy, a prawie każdy zna, nieraz umie na pamięć jego utwory. A jednak z tych dwóch poetów o losie i rozgłosie tak odmiennym, poetą społecznym, poetą, dającym wyższy, szlachetny, zdrowy wyraz walkom i wstrząśnieniom swego pokolenia był nie ten sławniejszy.

Barbier nie był wprawdzie sam wyższy nad ducha epoki współczesnej, dzielił jej obłądy i chorobliwe marzenia; inaczej nie byłby w stanie stać się tak potężnym i wiernym epoki téj wyrazem; ale w jego „Jamba ch" skupiło się to wszystko, co zasób uczuć i myśli współczesnego społeczeństwa zawierał najczystszy, najzacniejszy i najzdrowszy. U Heinego przeciwnie. Wielkie choroby wieku następcząją mu wciąż nowy wątek, ale dlatego głównie, że sam on bardziej chory od innych, że leżącemu na dnie przepaści, łatwiej zmierzyć jej głębokość. Tamten przeciw grzechom i upadkom stawia ideał swój, w który wierzy i od którego oczekuje uzdrowienia i szczęścia dla narodu i ludzkości; ten konstatuje istnienie złego, nie myśląc o usunięciu go, nie pragnąc tego, bo przecie w takim razie znikłby najlepszy temat jego utworów. Dwa pierwiastki sprzeczne — z jednej strony krytyka, wytykająca złe dla jego naprawy, z drugiej — negacya, odrzucająca nawet możliwość dobrego, występują przeciw sobie w tych dwóch naturach, na których duch wieku w tak odmienny sposób wycisnął swoje piętno.

Nie myślę wcale nadużywać antytezy i z dwóch na los szczęścia wybranych postaci stwarzać jednolite typy, stojące na przeciwnych biegunach; zdaje mi się jednak, że w każdej z tych dwóch twórczości literackich, znaleźćby się dały dość wybitne wskazówki, jakim być może i być powinien poeta, chcący dawać wyraz dążeniom i uczuciom chwili; czego powinien strzedz się i unikać. Rzecz prosta, że przedewszystkiem, powinien być dzieckiem swego wieku; rozumieć jego myśl, odczuwać każde jego drgnienie. Tylko trzeba żeby od innych rozumiał i odczuwał lepiej, głębiej, ogólniej. Dostrzedz pojedynczą cechę charakterystyczną społeczeństwa, wyrazić uczucie jednej jego cząstki w jednej danej chwili, potrafi każdy albo prawie każdy; dla poety tego zamało. Jak artysta, co z rysów rozproszonych wkoło niego stwarza typową, jednolitą postać, łącząc w jednym wyrazie wszystkie podobne, składające go czynniki; tak i poeta, chcąc być wiernym wyrazem swego pokolenia, powinien być odbiciem nie prądów duchowych, walk, aspiracji jednej tylko sfery, jednego kółka i szkoły, ale całego społeczeństwa, a w tém społeczeństwie powinien chwycić nie—rys jego pojedynczy, nie—jedno z jego cierpień lub radości, jedną z jego walk i dążeń; ale całą ich sumę, ich obraz ogólny. Ponad uprzedzenia, przyzwyczajenia, jednostronne poglądy zaścianka, jaki go otacza, powinien wzniesić się wyżej, w górę i rzucić okulary jakie na dole prawie każdy nosi. Inaczej, będzie wyrazem uczuć i myśli kilku, ale nie wszystkich, będzie płakał nad cierpieniem cząstki ogółu, nie nad cierpieniem ogólnem, nieraz groźniejszym i gorszym; będzie malował choroby pojedynczych członków ciała, zapominając o chorobach całego organizmu, nie troszcząc się o nie, ignorując je lekkomyślnie i jednostronnie.

Ale błąd ten choć powszechny i codzienny, z pomiędzy tych, jakie zagrażają poecie, nie jest jedynym, nie jest nawet głównym. Żeby go uniknąć, albo zeń się wyzwolić, trzeba miary ducha nad przeciętną o wiele wyższą, trzeba pierwszorzędnego talentu i bardzo samodzielnie rozwiniętej natury. Są błędy inne w które nie wpada się mimowiednie i te są gorsze. Tyrteusz zasłużył na wawrzyny, pieśnią swą zagrzewając lakończyków do walki z wrogami ich ojczyzny, ale później w zwyciężkiej Sparcie znaleźli się inni śpiewacy, którzy z gorącemi strofami na ustach towarzyszyli rozpasanej młodzieży w dorocznym wyprawach morderczych na bezbronnej helotów. Wczorajsza pieśń wojennej chwały zmieniła się w krwawą gloryfikacją wielkiego społecznego grzechu.

Każde społeczeństwo miało, ma, mieć będzie takich Tyrteuszów złych, a przynajmniej szkodliwych, Tyrteuszów wielkich chorób narodowych, wielkich błędów, wielkich upadków. Nie wszyscy, prawda, działają w zły wierze, ale na wszystkich spada mniej lub więcej ciężki udział winy, do której ich pieśń zachęcała, wiodła ogół posłuszny i zachwycony. Nie jeden, olśniony fałszywemi blaskami jakiej komety zwo-dniczej, w której zdaje mu się, że widzi gwiazdę przewodnią swego pokolenia, biegnie za nią olśniony i rozszałały przez bagna i przepa-

ście, rzucając przez nie mosty z pereł i dyamentów. Za nim, z przeciwniej strony, złocą się i czerwienią pierwsze promyki jutrzeńki i na tle rozjaśniającego się nieba, widać szerokie gościńce i łąki zielone, pełne kwiatów; ale on ich nie widzi, aż póki wreszcie, złamany i bezsilny, nie znajdzie się zbyt daleko, żeby mógł wrócić i póki ze znikającym światelkiem na niebie, w oko mu nie uderzą wreszcie gorące blaski wschodzącego słońca, z którego jemu już zapóźno będzie korzystać.

Nikt na świecie od takich wieszczów fałszywych, uwiedzionych błędną marą, nie zasługuje bardziej na szczere pożałowanie, jak ci, którzy za nimi poszli. Ale obok pożałowania tém mocniejszego, im bardziej podniosłym, szlachetnym, sympatycznym jest ten, który upada, albo do upadku dąży, jest jeszcze obowiązek drugi, niemniej ważny, może ważniejszy. Jest to wytknięcie błędu, i ostrzeżenie dla tych, co błędzą, albo błędzić mogliby, wskazanie w miejscu ideałów fałszywych, tego, co nam przyświeca jako prawda niezmienna i niezawodzący nigdy drogoszak życia. Obowiązek twardy, jak prawie każdy obowiązek. Czy po skutkuje? Czy kogokolwiek głos nasz przekona, nawróci? Czy to będzie tylko zaznaczenie odrębnego stanowiska tych niewielu, którzy nie chcieli się dać porwać ogólnemu prądowi i olśnić fałszywemi blaskami? O to mniejsza. Chodzi o spełnienie tego, co nakazuje i sumienie i rozum, reszta należy nie do nas.

## II.

Wszyscy pamiętamy jeszcze dobrze burzę, jaka powstała naraz przed kilkunastu laty przeciwko naszej poezyi, takiej przynajmniej, jaką pozostawiło po sobie w spadku pokolenie, schodzące z pola. Poezya była całą treścią jego życia, wyrazem najwyższym i niemal jedynym jego walk, bólow i aspiracyj; jak rozwinięty przed wojskiem sztandar wiodła je naprzód, ale zwycięstwa nie umiała mu zapewnić. Rozkołysane pieśnią, rozmarzone gorączkowo społeczeństwo, straciło grunt pod nogami i ocknąwszy się na dnie przepaści, zaczęło drżać strzępki sztandaru, obwiniając o upadek nie własną swą lekkomyślność i zaślepienie, lecz palladium swoich ojców. Z początku reakcja ograniczyła się jedynie do burzenia tego wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z poetycznymi ideałami ubiegłego trzydziestolecia. Zapomocą długiego ogona miernot, jakie za sobą ciągnie każda szkoła, choćby na jej czele stali geniusze, próbowano tych ostatnich strącać z ich piedestałów i rozwiewać otaczającą ich dotąd aureolę. Wreszcie, uprzątnięto się ze wszystkimi. Nie było już co walić; plac został oczyszczony, a na nim w miejscu zwalonej dawniej, należało nową wzniesć budowę.

Jaką miała być? Przedewszystkiém od tamtej, zburzonej, innej. Tamtę zaludniały blade, powiewne mary, widma z grobów powstałe, rozmodlone smętnie, lub promienne groźną chwałą wieków ubiegłych.

Jak ów orszak kościelny ze snu Cezary, wszystkie one były jakby tłem, na którym ognistemi zgłoskami rysowało się zawsze to samo, zawsze jedno imię, jak dźwięk z tysiąca piersi wydobyty i przez fale powietrzne niosący się coraz dalej i dalej, w nieskończoność przestrzeni. Tutaj w jasnym, świeżym gmachu, mającym zaspakając estetyczne potrzeby społeczeństwa, wytrzeźwionego z romantycznych szalów, zamiast fantazyjnych mrzonek i niedościgłych ideałów, trzeba było postawić chłodną rzeczywistość, zamiast smutnych zawikłań, wkoło których kręciła się poetyczna twórczość poprzednich pokoleń: problemata inne, nowe, dające się swobodniej dotykać, choć niemniej do rozwiązania trudne. Dźwięk, którym brzmiała cała poezja dotąd, ucichł, a w miejsce jego zaczęto szukać nowych tonów jakiejś muzyki przyszłości, muzyki, złożonej z ogólnoludzkich skarg, jęków, pytań i dysonansów, jak epoka nasza cała niezdolnych dostroić się do jednego tonu. Nowym hasłom i godłom, obwieszczającym zwycięstwo swe nad resztkami zmurszałych wierzeń i marzeń, trzeba było dać jeden ogólny, wyższy, jednolity wyraz w poezji nowej, mającej wieść naprzód hufce młode ku szczęśliwsiemu losom, niż te, jakie spotkały ojców.

W takiej chwili oczekiwania i przełomu pojawiły się pierwsze utwory poetki, nieznanej dotąd, mającej prawie odrazu zająć bardzo wybitne, odrębne stanowisko w naszym piśmiennictwie i stać się niejako nowym sztandarem dla świeżych, nadpływających i rwących się naprzód fal życia. Poezje te były bardzo różne od tego wszystkiego, do czego przywykła dotąd czytająca publiczność. Żadna z nich wprawdzie nie spróbowała nawet sięgać do wyżyn, wśród których dotąd tak często bujali mocarze poetyckiego natchnienia; zdawało się owszem, jakby poetka z umysłu zniżała lot swój ku ziemi i ścieśniała zakres twórczości; ale w tym ciasnym zakresie twórczość jej była tak oryginalną i doskonałą, tak sympatyczną i świeżą! Nie było w niej nic szablonu, nic przymusu i maniery, nic kłiwego i fałszywego sentymentalizmu. Wrażenia i uczucia łały się prosto z serca, świeże, jak źródło źródlanej wody. A przytém drgała w nich jakaś nuta rzewna i smętna, niby echo piosenki zasłyszanej gdzieś u wiejskiej strzechy, chwytające za serce swą prostotą, choć w prostocie tej tkwił właśnie artyzm najwyższy. Artystyczne, wytworne, rzeźbione misternie delikatną dłonią kobięcą były wszystkie te poezje; tajemnica jednak nie ich uroku może, ale powodzenia, leżała w czém inném.

Zasłuchana w ludowych motywach, poetka przejęła się ich nastrojem i uczuciem; w jej utworach znalazły wyraz spotęgowany żale i tęsknota, z jakich od wieków składa się przeważnie pieśń naszego ludu. Tylko pieśni ludu nie tworzy zwykle jedno pokolenie; przez lata i wieki dziadowie ją podają wnukom, i jak pamięć o znikłych dawno ludziach i dziejach żyje, trwa niezmiennie w legendzie, tak i wspomnienie o krzywdach i cierpieniach ludowych przechodzi do dalszych pokoleń wtedy jeszcze, kiedy krzywdy się zagładzą i rany zagoją od dawna. W tę samą strunę uderzyła poetka bardzo donośnie, to nada-

ło jój twórczości barwę jaskrawą, odrębną, i stało się pierwszym z powodów, dla którego pewna część naszego społeczeństwa, albo raczej tylko naszej prasy, obwołała ją wieszczką swoją.

Był jeszcze i drugi. Ile razy myśl poetki od szarój strzechy wiejskiej wzbijała się w szersze kręgi, zaciasno jój było wśród granicznych kopców, pomiędzy którymi starczyło miejsca dla jój poprzedników. Te same zagadnienia, te same ogólno-ludzkie walki i aspiracye, któremi żyły otaczające ją koła, łatwo było odnaléć w jój strofach dźwięcznych i pełnych, jak odgłos dzwonu, budzący ze snu cichych mieszkańców wioski, nie wiem już, czy do tłumienia pożaru, czy do walki o rzeczywiste lub urojone prawa. W dźwiękach tych brzmiało wyzwanie staremu porządkowi świata i ideałom przeszłości, a na ich miejscu, przez mgły dalekie, wstawały obrazy przyszłego szczęścia, równości, swobody. Nie dziw, że na to hasło ozwało się wiele głosów sympatyj, uznania, poklasku, i że pomimo usiłowań tych, którzy pragnęli poetkę zatrzymać w pół drogi, popchnięto ją w tym samym kierunku dalej, postawiono na czele. I dziś, tak samo jak w tój pierwszej chwili, jakiegokolwiek były i są osobiste pobudki, myśli, uczucia poetki, twórczość jój uważać trzeba za najwyższy wyraz w naszej poezyi prądów, które obaliły dawne bożyszcza i ołtarze. Ołtarz to nowy, w którego środku króluje bóstwo ludzkości, rozrywającej pęta i zrzucającej swe osłony.

### III.

Kiedy nieuprzedzonemu czytelnikowi nieznaną książką wpadnie poraz pierwszy do ręki, uwaga jego zwraca się przedewszystkiem nie do tego, co autor chciał wyrazić, ale jak myśl swą umiał ubrać i z założenia swego jak się wywiązał.

Pod tym względem, jak łatwo się domyślić, sąd o pani Konopnickiej musi wypaść bardzo przychylnie. Pierwsze wrażenie jój utworów jest świetne, powiem więcej, porywające. Prawdziwa mistrzyni formy, ośniewa nas powodzią tęcz i świateł, z których jój wytworny talent umie utkać zewnętrzną szatę poezyi, jak ślubną suknię królowej z bajki Perraulta. Jakąkolwiek wybierze formę, w każdej równie jój wygodnie, równie swobodną falą płynie wiersz, przelewający się lekko przez techniczne trudności i przeszkody, jak przez nieznaczące, z żyzska strumienia wystające kamyki.

Na ten urok formy składają się, o ile sądzę, dwa czynniki. Pierwszym jest rozwinięte u poetki w wysokim stopniu poczucie piękna i delikatność smaku; drugim, niemniej ważnym, muzykalna zdolność do harmonijnego łączenia dźwięków, do chwywania ich z zewnątrz i do asymilowania ich z własnym utworem, tak samo, jak robią kompozytorowie w muzyce. Z poezyi p. Konopnickiej te, które zyskały najszerzy rozgłos i najwyższą sympatyę, piosenki z ludowych motywów, naśladują te motywa do złudzenia, mają ich ton, ich formę, są niemi prawie,

a jednak cały łańcuch uczuć i pojęć, z jakich splatają się te piosenki, jest ludowi obcym i tylko zewnętrznemu kunsztowi formy zawdzięcza autorka, że na tém tak mało kto i tak nieprędko umie się poznać.

Podobnie i z innemi utworami. Od pierwszej chwili ich zewnętrzna forma pociąga, usposabia do odczucia treści i zupełnego przejęcia się nią. Jeśli to będzie utwór, przenoszący nas w świat starożytny, autorka potrafi wykuć strofy swe z jakiegoś kunsztownego materiału, który nie będąc śpizem klasycznych posągów, naśladuje go do złudzenia. W pieśni miłosnej otoczy ją takim wieńcem traw pachnących, kwiatów świeżo rozkwitłych, leśnych szmerów i ptaszcych świergotów, że będzie się miało wrażenie Szwajcaryi. A w poezji malującej nędze ludzi i zwątpienia ludzkości, stworzy takie tło ponure i smętne i tak umiejętnie rozrzuci na tém tle dekoracją bezdennych przepaści i ciernistych lasów, malowanych na kartonie, że czytelnikowi nie łatwo przyjdzie widzieć w tém jedynie tylko poetyczny wytwór bujnej, rozigranej wyobraźni.

Przy takiem opanowaniu formy, nie dziw, że poezye p. Konopnickiej są wdzięczne i miłe, jak cacka misterne, na które spogląda się z upodobaniem, nie pytając, jaki z nich może być użytek. Są one, co prawda, cokolwiek monotonne, zamknięte w ciasnym kółku zawsze tych samych myśli i uczuć, około których krąży wciąż twórczość poetki, niezdolna oderwać się na nowe drogi, do szerszych widnokręgów. I kiedy téj muzyki słucha się dłużej, nietrudno znaleźć jéj myśl przewodnią, leżącą na dnie każdego prawie utworu p. Konopnickiej.

Ona sama najlepiej określa tę myśl, to uczucie, przenikające i jéj poezyą i jéj własną duszę:

Ach! czemuż burzą tęsknoty porwana,  
I uniesiona przez wieków podmuchy,  
W wiecznej pogoni za widmem znikomém,  
W namiętnych marzeń i porywów szumie,  
Jako zakłete latać muszę duchy,  
Ponad tą ziemią, która mi jest domem,  
I wiecznie pragnąć, i wiecznie się smucić,  
I tak się trawić, jak płomień skrzydlaty...  
Czemu nie mogę spocząć?...

Ta bezmierna tęsknota, ten smętny niepokój duszy i ciągły wewnętrzny rozdźwięk: to główna treść uczuć i umysłowego nastroju pani Konopnickiej. Dziecko wieku, cierpi w całej sile na jego nieuleczoną i nieuleczalną chorobę. Tak jak dla dzisiejszych filozofów i badaczy, życie ziemskie jest dla niej wszystkiém, celem jedynym ludzkiego istnienia; nie dziw téż, że do jego przemijających objawów przywiązuje wagę taką, jaką inni nadają wyższymi, wiecznie trwałym zjawiskom i celom. Świat otaczający poetkę nie odpowiada obrazowi idealnego społeczeństwa, jaki sobie wymalowała w głębi duszy: pomiędzy ludźmi panują różne wady, egoizm, pogarda albo obojętność dla nędzy

i cierpienia; gdzie spojrzeć, wszędzie smutki, łzy, twarze wychudłe, wykrzywione rozpaczą i bólem, wszędzie prośby bez skutku, pytania bez odpowiedzi, troska bez nadziei. Jak rozbitek unoszony po wzbudzonych falach na kawałku deski, bez busoli, bez żywności, bez środka ratunku, o setki mil od najbliższego brzegu, tak ludzkość dąży w bólach i bezsilnych konwulsjach z wątpienia, wśród wichrów i rozhukanych bałwanów, ku nieznanym brzegom, w noc ciemną, bez nadziei poranka! Dlaczego?

Poetka rzuca w niebo tём pytaniem, pełnём wyrzutu, a nie otrzymując odpowiedzi, załamuje rozpaczkliwie ręce. Poezya jój jest odbiciem tój rozpaczki, tego niezadowolenia z całego ustroju świata i ludzkości, tego rozdźwięku między ideałem a rzeczywistością. Jest to ten sam „Weltschmerz,” na który cierpieli romantycy: tylko że tamten odnosił się raczej do zakresu praw moralnych i umysłowych warunków, w jakich obraca się społeczeństwo, podczas gdy wątpienie p. Konopnickiej spowodowane jest przeważnie materyalnemi nierównościami życia.

Najmniej oczywiście ta cecha charakterystyczna poetki, występuje na jaw w jój utworach opisowych i czysto lirycznych. Wprawdzie i w nich także panuje ten sam ton i mniej lub więcej wyraźnie odzywa się ta sama nuta tęsknoty i smutku, ale stłumiona wrażeniami przyrody, albo tóz odmiennym prądem myśli, z innych sfer czerpiącym swe źródło. Jako przykład tych dwóch kierunków jój twórczości, służyć mogą dwa utwory, rozpoczynające pierwszy tom poezji pani Konopnickiej, „Wstęp” i „Przegrywka.”

„Wstęp” jest rodzajem orationis pro domo. Zjawiając się w chwili nie ucichłej jeszcze reakcji i okrzyków oburzenia przeciw poezji i jój kapłanom, młoda poetka czuła potrzebę wytłumaczenia się niejako, zaznaczenia racji bytu dla swojej pieśni i dla pieśni w ogóle. Myśl jój przenosi się w ten świat starożytny, do którego odtąd tak często uciekać będzie, pociągnięta zmysłowym czarem jego kształtów.

„Za ostatnim poetą zamknęła się brama.” Wyszli wszyscy z Aten, wygnani wyrokiem mędrców.

„Plato odetchnął. Odtąd poezya zdradziecka  
Umysłów wytrzeźwionych oczadzać nie będzie,  
I żadna już od pieśni nie zadrży pierś grecka...

Odtąd mieszkańcy miasta, stojąc na swych progach,  
O tём, co rzeczywiste, radzić będą zimnie,  
I nikt, przy jakimś grzmiącym, pełnym ulud hymnie,  
Nie będzie roił baśni o chwale i bogach.

Ludzkość wolna od rodu wieszczów i rapsodów  
Przestanie pragnąć zdrojów żywych i ogrodów  
I nie będzie roiła o cudach dziwaczknie...

Cóz jest pieśń? Dźwięk słów, pusty, jako wiatru szelest.”

Ale w téjże chwili w piersi młodego pacholecia, o krok od mędrca, zbudziło się jakieś uczucie dziwnego zachwyty, drgnęło mu w uszach echo pieśni Homera, wyciągnął dłonie i zawołał: „lutni!”

Jakto? Wielcy bogowie! Czyż znouw poeta?

„Przegrywka” do poezji „Z gór” uderza odrazu z całym wdziękiem w nutę ludowej piosenki, którą poetka umiała sobie przyswoić tak dobrze.

„Wkoło mnie otoczyły moje równie senne,  
Pasmem jednakiem;  
Ale ja sobie lecę w krainy odmienne:  
Umiem być ptakiem.  
Błękitna przestrzeń mruga, zaprasza do siebie,  
Skrzydeł nie nuży...  
Pędzim sobie we trójkę: ja, obłok na niebie  
I listek róży.”

Listek upadł na granicznym kopcu wioski.

„A obłok powiał dalej... pod słońko się stroi  
W biel i we złoto,  
Aż u chaty ostatniej, co w kraju mym stoi,  
Zadrżał tęsknotą...  
Wiatr szarpnął go za szatę, rozrzucił mu włosy,  
Toż łzami leci  
Na łączkę, gdzie pod gruszą siedzi dziaduś bosi  
I kupka dzieci...  
Nie chce odlecieć dalej! Z téj mgły urodzony,  
Z oparów rzeki,  
Gdzież mu zwiedzać świat obcy, inne jakie strony  
I kraj daleki?  
Więc sama lecę...”

Wszak prawda że to śliczne? Zdaje się, że od téj piosenki pachnie łąką zieloną, srebrną od rosy i bujającym po niej ciepłym powiewem wiosny.

Wszystkie piosenki z ludowych motywów, są trzymane w tym tonie i choć nie wszystkie téj równe, pociągają zawsze tą dziwną śpiewnością i harmonią wiersza.

Do poważnej, spokojnej formy „Wstępu” i podobnej do niego „Klaudyi” i „Tarczy Scypiona” zbliża się cały cykl „Z gór” i cały szereg innych lirycznych i opisowych poezji. Piękności przyrody poetka odczuwa, a przynajmniej umie odtwarzać z wielką siłą wiersza i barwnym bogactwem porównań i obrazów.

Oto dla przykładu ustęp z „Nocy.”

„Na tym kawałku ziemi Bóg położył dłonie  
I odjął, i stanęła tu piękność w odświeżeniu

„Dziwnego majestatu. Smereki zielone  
 Zaplotły jój koronę z szmaragdów na skroni,  
 A kształty jój przepysznie rzeźbionego ciała,  
 Niby grecka draperya, mgła lekka owiała...  
 Cicho! Oto jój księżyc srebrne bajki plecie  
 I majaczy tam dziwy, niebyswałe w świecie;  
 Rozbudza duchy białe, co w szczelinach drzemia  
 I rade o północy hasają nad ziemią;  
 Zroszonym mchem rozplata brylantowe włosy  
 I, jako dziwożona, lechce senne wrzosa...  
 Halny wiatr powiał chłodem. Dzwonek się odzywa.  
 Zbłąkana, za koszarem tęskni owca siwa...  
 Juhas huknął; po turniach odhuknęły jary...  
 Gdzieś czujny róg się ozwał, gdzieś drugi do pary...  
 Okrzyknęły się wierchy, coraz słabiej, ciszej,  
 Aż ostatni ich odgłos przepaść chyba słyszy.”

Ta plastyka i malowniczość opisu w połączeniu z miękkim, lirycznym nastrojem duszy cechuje wszystkie utwory podobne. W większej części ich jednak obrazowa forma i piękność przyrody, służą tylko za tło, na którym własne swe uczucia, tęsknoty, skargi haftuje poetka. Jednym z niewielu wyłącznie lirycznych utworów, tym, w którym z całym swym bogactwem rozwinął się talent poetki, jest niewątpliwie „Romans wiosenny.”

Czy mu zarzucić, że naśladuje „Szwajcaryę?” Nie wiem, czy wolno. Zapewne, gdyby nie było „Szwajcaryi,” „Romans wiosenny” nie wysnułby się z myśli poetki, albo przynajmniej byłby zupełnie innym? Ale choć Słowackiego naśladuje do złudzenia i w pomysle i w formie, i w toku uczuć i obrazów, poemat p. Konopnickiej „Szwajcaryę” nie jest. Materiał pożyczony, autorka przetrawiła we własnej duszy, nadała mu własne piętno, stał się u niej nie oryginalnym może, ale odmiennym. Słowacki tak samo żywcem brał pomysły i dramatyczne efekta z Szekspira i Byrona; większa połowa jego utworów jest przerobieniem cudzej myśli na własną modłę, a dla tego przecież nikt im wartości samodzielnej nie myśli zaprzeczać. Panią Konopnicką tém mniej zarzut podobny może osiągnąć, że pomimo wrażliwości jój natury, która z konieczności łatwo musi się przejmować obcemi wpływami, o ile o tém oczywiście można z utworów jój sądzić, utwory te, jeżeli nawet są naśladownictwem, co zdarza się rzadko, umieją to naśladownictwo bardzo zręcznie ukryć.

„Romans wiosenny” przypomina te obrazy umbryjskiej szkoły, w których jedna lub dwie postacie występują na tle fantastycznego krajobrazu, rozjaśnionego idealnym wdziękiem swoich wiecznie zielonych drzew, niezmiennie błękitnego nieba. Tylko, jak w „Śnie nocy letniej” i w roślinnej ornamentacji średniowiecznych portalów, przyroda ta, niedość że jest piękną, jest żywą. W kielichu każdego kwiatka, pod cieniem każdej trawki, kryje się jakiś chochlik uśmie-

Chnięty wesoło lub złośliwie; każda trawka i kwiatek ma swoje indywidualność i życie. A wśród tego tła, jaśniejącego tysiącem barw, pachnącego tysiącem woni, rozdźwięczonego wiecznie tą samą i nieśmiertelnie młodą pieśnią miłości, jaką od początków świata śpiewa przyroda, dwoje istot ludzkich, spojonych namiętnym uściskiem, szepce sobie ciche zaklęcia, powtarza rozkoszne pieszczoty. Gdyby to było mniej długie, byłoby na prawdę bardzo wdzięczne i ładne.

Oto próbka:

Czybyś ty wierzył, biały mój powoju,  
 Że można z takich wyrwać się uścisków?!  
 Że można rozpleść takie białe ręce,  
 Co się miłośnicie wieszają na szyję,  
 Że można uciec przed życia ozdobą,  
 Przestać być dwojgiem, a być tylko sobą?

Albo gdzieindziej:

...wieczorny powój się odchyła,  
 I pokazuje śpiącego motyla...  
 Czy tylko spał on? oh! bardzo być może,  
 Iż psotnik wybrał to błękitne łożo,  
 Aby podsłuchać, co téż mówi dwoje?  
 Poranek sprawdził nasze niepokoje:  
 Ten zdrajca motyl po całym ogrodzie  
 Rozniósł na skrzydłach tę naszą rozmowę!  
 Zarumieniony obłoczek na wschodzie  
 Powiał ją dalej...

Tych kilka urywków wystarczy, żeby o rodzaju talentu p. Kono-  
 pnickiej, o jego głównych kierunkach i technice dać ogólne wyobraże-  
 nie. Zostaje nam rozpatrzyć się, jak w tych ramach przeprowadza  
 autorka tendencyą swych utworów.

#### IV.

Tendencja utworów p. K. objawia się w dwojakićj formie. Albo to będzie obrazek z życia, przedstawiający jakąś jedną nędzę i niesprawiedliwość, jedną z zagadek społecznych, których wkoło nas tyle, jedną ze zmarnowanych sił i ze złamanych dusz; albo téż ogólny widok ludzkich cierpień wywoła w duszy poetki okrzyk oburzenia i przeciw ludziom i przeciwko Bogu.

W noc zimową, od dziecka swego, które porzuciła na zimnie, pod murem ulicznym, na pewną niemal zgubę, odbiega matka zrozpaczona, nie do tego stopnia jednak, żeby w jćj sercu krzyk miłości macierzyńskiej, albo poprostu ludzkiego miłosierdzia przemógł nad egoizmem miłości własnej. Ta matka nie wstydziała się upaść, nie wstydziała się teraz popęlić dzieciobójstwa; ale wstyd jćj ludzkich głosów

i téj nikczemnej, wyrodnej, gorszej od sukki i wilczycy, każe poetka prosić gwiazd, aby strzegły opuszczone dziecko i jasnego miesiąca, aby rąbkiem srebrnym okryły drżące ciało. A czemuż sama nie stoi na straży, czemu dziecka nie ogrzeje u własnej piersi, choćby krwią utoną z pod serca?

Rozwiódłszy się na dwóch stronicach nad cierpieniami téj nie-szczęśliwej, poetka pyta myśliciela, co pocnie ta matka i to dziecko? Odpowiedź łatwa. Dziecko, jeśli go nie znajdą dobrzy ludzie, albo jeden z tych kobiecych aniołów chrześcijańskiego miłosierdzia, o których w opisach nędzy ludzkiej ani jedném słowem nie wspomina autorka, będzie zapewne niewinną ofiarą za grzech matczyny. Matka? O tę można być spokojnym. Dobrze jój się dzieć będzie. Podobnym istotom na środkach zarobku nigdy nie braknie, a sumienie prędko przestanie odzywać się nie w porę.

W wieczór sobotni, od warsztatowych śrub i pił, nad którymi przeżył cały tydzień schyloną miał głowę i pracujące ręce, wyrwał się rzemieślnik i otrzymawszy zapłatę, wyszedł na ulicę. Na rogu zapowiedział wesolą zabawą, a przynajmniej chwilowego odurzenia, pociągał jaskrawy napis szynku. Ale wyrobnik cofnął się.

Ten zmierzch wieczorny, przejrzysty, różowy,  
Jakieś mu dumki nawiewał do głowy  
O wiosnie, ciszy, przyrodzie i Bogu;  
Jakieś pytania o życiu, o świecie,  
Zmąconą falą o duszę mu były...

ale nikt mu na te pytania nie odpowiedział, nie umiał wytłómaczyć i rozwinąć tego bezwiednego popędu w górę, jaki rodził się w jego sercu. Wprawdzie z ludzi, którzy szli koło niego, „niejeden zapewne kochał lud, myślał o jego oświacie,” ale:

...gdzież są drogi, na którychby duchy  
Dwóch sfer odmiennych schodziły się społecm?

Czyż zwyczajnie nie dzielą ich? Czyż znikczemnienie rzemieślnika jest „przedmiotem czyjś troski i narady?” Ofiara różnic społecznych, rzemieślnik, idzie do szynku.

Przedewszystkiém sprzeczność tkwi w samej treści wiersza. Ci ludzie, którzy kochają lud i „obcemu nawet mówią: bracie!” muszą zapewne nieraz myśleć o nędzach moralnych i materyalnych tych braci, a jeśli nie są w stanie im zaradzić, to może nie zawsze ich wina. Problem, jaki zajmuje poetkę, starali się oni rozwiązać praktyczniej może, niż przez propagandę u drzwi szynku. We Francyi stworzyli oni słynne cercles ouvriers catholiques, za które prasa liberalna tyle na nich rzuciła błota, a zapomocą konferencyi św. Wincentego weszli z ludem rzemieślniczym w związek bezpośredni, dając mu oświatę, pomoc materyalną i moralną, a nadewszystko bratając się z nim najzupełniej nie na sesjach tylko, ale w życiu prywatném, codziennem, w imię je-

dynego hasła, dającego prawdziwą równość, w imię tej Prawdy, która „wyswobadza”—w imię nauki Chrystusa. W Niemczech założyli doskonałe stowarzyszenie czeladzi katolickiej Kolpinga, które na polską ziemię, z tak wielkim pożytkiem przeniósł do Lwowa ks. Odelgiewicz, a w Poznańskie—o zgrozo!—bodaj czy nie Jezuci, a w każdym razie księża. Rzemieślnik p. Konopnickiej, jeśli naprawdę miał do czegoś lepszego, niż do wódki, ochotę, i jeśli był gdziekolwiek zagranicą, mógł łatwo do tego znaleźć drogę, a choć u nas w istocie mniej, daleko mniej zrobiono pod tym względem, (oskarżać o to nas p. Konopnicka wie dobrze, że niema prawa,) toć przecie książki pocziwiej w pierwszej bezpłatnej czytelnicy dostanie, a jeśli niema dosyć gospód chrześcijańskich, przeciw którym zresztą taki alarm podnieśli postępowi wielbi-ciele poetki, wina znówu nie nasza...

Nie naszą także jest wina, jeśli przed sądem staje pacholę, sierota, w którego wiosce rodzinnej nie ma szkoły. Smutno, że nie ma żadnej, choć może lepiej, niż gdyby szkoła była, ale zła, ucząca o tém zapominać, o czém powinno się pamiętać i to nienawidzić, co powinno się kochać. Z takiej szkoły dalej zejść można niż pacholę p. Konopnickiej. A jeżeli poetka powiada że:

„...krzyż czarny  
Stał nieruchomy i cichy na stole,  
Jako milczące wobec łez ołtarze...”

to popełnia jedno z tych niepotrzebnych bluźnierstw, a zarazem i lekkomyślnych niesprawiedliwości, jakie w jej utworach spotykają się bardzo często. Tém właśnie, co do ołtarzów, pociąga tłumy i zawsze pociągać będzie z nieprzepartą siłą, pomimo wszelkich wysiłków przeciwnych ze strony obozu postępowego, to jest właśnie, że ołtarze nigdy nie są milczące wobec łez, że u ich stóp każde cierpienie znajdzie pociechę, choćby to była pociecha nie materyalna, ale wewnętrzna. Ale krzyż daje nietylko pociechę dla dusz, daje on i czynną pomoc dla ciał, dla umysłów. P. Konopnicka powinna była wiedzieć z historii, że gdzie tylko budował się kościół, tam obok niego powstawała zawsze szkoła; a jeżeli przeszłości nie lubi, jeżeli w szkołach dzisiejszych, urządzonych pod wpływem postępowych pojęć, niewygodnego Chrystusa wyrzucono za drzwi, niech sobie przeczyta „Misye Katolickie“ i przypatrzy się cichój, ale bardzo ciężkiej i nieraz krwawej pracy misyonarzy i sióstr, których co roku setki całe płyną za morza, pomiędzy najdziksze ludy, wyprzedzając lub towarzysząc takim pp. de Brazza, Stanleyowi, Schweinfurtowi i innym. Niech zobaczy co ci ludzie robią dla rozświetlenia w głowach i niech powie, czy to nie trudniej i nie więcej, niż zbieranie łatwych literackich tryumfów, powtarzaniem popularnej zwrotki.

A jeżeli wiejska nauczycielka, która

„...była jak tęcza, co ziemię  
Jednoczy z niebem...”

Była skowronkiem dla wioski, co drzemie,  
Dla ducha chlebem”

spoczęła w połowie pracy na cmentarzu; jeżeli „wolny najmity” musi pracować,

„I choćby garścią rwał włosy na głowie,  
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...  
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie”

jeżeli wreszcie w noc zimową dziecko zbłąkane, zasypia na wieki u drzwi kościoła zamkniętego

„Razem z litością i z Bogiem”

to wszystko zapewne są rzeczy bardzo smutne, ale będące niezbędnym wynikiem obecnego ustroju społecznego i przenikających pokolenie nasze prądów duchowych. Niesłusznie więc autorka na społeczeństwo i na Pana Boga rzuca wyrok potępiający; niesłusznie opowiedziawszy w ładnym wierszu o śmierci biednego dziecka wyrobni-ka, woła:

„O, bracie! czy w nas wcale nie ma winy,  
Ze słonka Jaś nie doczekał?”

i na sumienie wielkiego miasta, w którego mury wchodzi inne dziecko, bezdomny sierota, kładzie odpowiedzialność za jego dalsze losy.

Zapewne. „Coś jest zepsutego w Danii;” wiemy to, czujemy wszyscy. Nie jest zdrowe społeczeństwo, które pozwala obok rozpasanego bezwstydnie zbytku ginąć z głodu i wycieńczenia nędzarzom; nie jest zdrowym wiek, który zwierzęcą walkę o byt i prawo mocniejszego postawił na swoim sztandarze. I gdyby zamiast ogólnikowych lamentów i wyrzutów, autorka śmiało i otwarcie, rzuciła rękawicę błędom i winom wieku, gdyby dotknęła palcem źródła jego rany, zgodzić się z nią, przyklasnąć jej byłoby łatwo i miło. I na prawdę, kto śmiałyby odmówić jej słuszności, gdyby zawołała do swoich czasów i pokolenia dzisiejszego: Zerwaliście lekkomyślnie nić, łączącą was z przeszłością, z tradycją wieków; zburzyliście nieprawnie instytucje ojców, klasztory, w których pokarm dla ducha i dla ciała znajdowały rzesze głodne, przytułki chrześcijańskiego miłosierdzia dla nędzarzy i przesładowanych; odebraliście biednemu wszelką pomoc i opiekę, jaką mu dawała pobożność dawnych pokoleń i odepchnęliście go mówiąc: walcz i przebijaj się naprzód, albo giń! Dźwiękiem czeszych frazesów zastąpiliście słowo Chrystusa w czyn wprowadzane dawniej, oficjalnym banknotom — ciepłą pomoc miłości bliźniego, bratającej się z nędzą; cierpieniom nieuleczalnym odebraliście ostatnią pociechę, jaką im dawał Chrystus — nadzieję zagrobowego światu po ciemnościach życia! I teraz stoicie na ruinach i zgłiszczacz, nie mając już nic do niszczenia i zaczynacie się przekonywać, że tego, coście zburzyli, nie potraficie zastąpić. Dzieci opuszczone giną z zimna u progu świątyni,

którą wczoraj może odebrała Bogu lub odbierze jutro zaciekłość waszego bezwyznaniowego fanatyzmu. Matki grzeszne, które odczyliście chodzić do spowiedzi, porzucają dziecię na rogu zaułka, w przekonaniu, że tylko ludzkiego sądu, tylko doczesnej kary lękać się powinno. Wyrobnik, któremu wpoiliście nienawiść do klas niższych, którego nauczyliście wszystkich pożądań i samego tylko użycia — dla czegoż nie używać życia, kiedy z niem wszystko się kończy? — woli iść do szynku i tam przy wódce obmyślać środki zemsty przeciw tym, którzy więcej życia tego używają, woli sięgać wyobraźnią po wszystko, niż pracą wytrwać i trzeźwą dążyć do cząstki. A wobec tych żywych grózb chmurnego jutra, wobec krwawego plonu, jaki dziś już wydaje złe ziarno, przez was zasiane, cóż robicie, myśliciele, mistrzowie, przewodawcy wieku? Sobie i epoce swojej z rozwianych kadzielnic podnosicie obłoki wonnego dymu w deklamacjach waszych dzienników, waszych ksiązek, waszych mów politycznych; nie wierząc mu, śpiewacie hymn pochwał i uwielbień i przygniatacie zarzutem wsteczniactwa i umysłowej ciasnoty każdego, kto o doskonałości waszej i wielkości wieku ośmieli się wątpić!

× Niestety! Słów tych pani Konopnicka nie powiedziała i zapewne nie powie nigdy. Natura jej gorąca i szlachetna, widzi złe, odczuwa bóle szarpiące społeczeństwo; ale nie dostrzega ani ich źródła, ani środków zaradczych. Nie rozumie tego, że ludzkość wyrzekłszy się Chrystusa i stworzywszy sobie taki jak nasz kodeks etyczny i obyczajowy, musiała z konieczności wpaść w dzisiejsze błędy. Nie, ona wierzy że:

„ . . . . . dziś nie jest błędem  
Widmem, stojącym wśród zmierzchów bez końca.”  
„W wielkich, jasnych przyszłości nadziejach  
Tkwi jego młodzieńcza siła.”

× Dawniej zapał ludzkości „był hymnem ludów i wiarą;” dziś, to „duch badań,” który „wielkie prawdy zdobywa i wciela w idące na-przód narody” i ona wie: ×

„ . . . . . że w wiecznych następstwa ogniach  
Przerwy nie będzie, że ludzkość nie stanie  
Na żadne kłątwy i żadne wołanie,  
Aż znajdzie prawdę — i Boga.”

× Ktoś może zwrócić uwagę, że Boga znajdować nie potrzeba, bo już dawno znalezione, tak samo jak wszystko niemal to, co poeta stawia jako szczyt swoich marzeń i pragnień, w objawieniu tego Boga, w Jego prawach od wieków już ludziom znane. Jeżeli zaś ten ktoś jest zgryźliwy, mógłby przypomnieć słowa Apostoła o tych, którzy oczy mają, a nie widzą... Ale ktoby uwag podobnych słuchał! Coby się stało z całą poezją p. Konopnickiej, gdyby jej przyszło iść drogą prostą i twardą, jak obowiązek, niedającą żadnych innych wrażeń, prócz poczucia speł-

nionego obowiązku! Gdzieby się podziały rozpacz, zwątpienia, pytania, tak efektownie wydzierające się z głębi zranionego serca i zostające oczywiście bez odpowiedzi? Nie. Pani Konopnicka nie idzie z temi, którzy noszą „z popiołami urny”—ona towarzyszy pochodowi tych, co noszą „nowe sztandary!”

Ze „stolic, w blaskach złota i purpurze” duch poetki rwie się do „nędznych chat,” do „pól smętnych i jałowych,” do mogił, tych, „kwiatów krwią pojonej ziemi.” Zarzuty, robione dotąd ogólnikowo społeczeństwu — które ze wszystkich, jakie są na świecie, najmniej chyba może być pociągniętem do odpowiedzialności za spotykające się w niem ujemne zjawiska—występują tu wyraźniej i bardziej bezwzględnie. X

Oto co śpiewa chłopska fujarka:

„A czemuż wy chłodne rosy  
Padacie,  
Gdym ja nagi, gdym ja bosy,  
Głód w chacie?  
Oj! żebym ja poszedł ino  
Przez pole  
I policzył łyż co płyną  
Na rolę..  
Strachby było z tego siewu  
Żać żniwo,  
Boćby snopy były krwawe  
Na dziwo!”

Dlaczego zaś snopy byłyby krwawe i łyż płyną na rolę, o tém poetka nie zostawia nas długo w niepewności.

„Świecą gwiazdy, świecą,  
Na wysokim niebie;  
Jeno nie myśl, chłopie,  
Że to i dla ciebie.”

Nie. Ta jasna „jako skrawek słońca,” to pana ze dworu; ta złota, proboszcza; tamta srebrna, organisty. Wprawdzie Bóg zapalił dawniej gwiazdy dla wszystkich; ale lud ubogi „zaczął się kurczyć,” i teraz:

„ . . . te pańskie świecą,  
Jako talar biały;  
A te chłopskie w rolę,  
Jak łyż pospadały.”

Chłopskiemu dziecku wróży cyganka, że będzie chodził w czerwieni „potu swego krwawej rosy,” że wykopie skarby bogate „nie dla siebie, lecz dla pana;” że mu do śmierci dochowa wiary „krwawa bieda” i uspi mu dziatki „pieśnią płaczu, pieśnią głodu.” Konikowi swemu chłop nie będzie „w jedwab zaplatał długiej grzywy,” ani go wodził

„na uździe z karmazynu“ i „w złocistych podkowach.“ Dola jego będzie tak samo szara i smętna.

Od chłopskiej chaty idą trzy ścieżki: jedna na cmentarz, druga do karczmy, trzecia do dworu. Na tej trzeciej stoi rosa „od znojnój pracy potu;“ okryły ją ciernie i chwasty, jakby wiodła „pomiedzy odmiennie a wrogi“ i nie dziw, bo na niej „brak śladu stopy dobrego człowieka.“

× Pani Konopnicka się myli. Od chłopskiej chaty rozchodzą się nie trzy, ale cztery gościńce. Czwarty prowadzi do kościoła, o którym poetka nie wspomina nigdy, (chyba z obelgą), jakby to nie był jeden z najpotężniejszych czynników w życiu naszego ludu — i naszego narodu. Na tym czwartym gościńcu lud uczy się czegoś całkiem odmiennego od myśli, jakie w niego chciałaby wszczepić p. Konopnicka. Uczy się, że praca nie jest nieszczęściem, ale obowiązkiem, a nieraz pociechą; że do cudzej własności nie ma żadnego prawa i że choć pańskie pola wielkie, dwór ma z nich nieraz stosunkowo mniej dostatku, niż chłop ze swego kawałka gruntu — dowód najlepszy, że nieraz z pieniędzy zebranych na tym ostatnim, nabywa pierwsze. Uczy się i tego jeszcze, że sam on bez dworu, jest tylko ciemną, ślepą masą, mogącą stać się szkodliwem narzędziem w ręku złych ludzi i że tylko pod kierunkiem najbliższych, naturalnych sprzymierzeńców i braci, potrafi coś dobrego stworzyć; uczy się, że dwór, jeżeli zawinił w przeszłości, to winę ciężko odpokutował i teraz niczego więcej nie pragnie, jak rozszerzyć gościniec wiodący do chaty — i że jedynym miejscem, gdzie widmo głodu zajrzało na prawdę i zaziera często do zapadłych okien tej chaty, są strony, w których polskiego dworu brak: jest niem pruska Irlandya.

A i trzeci gościniec nie zarósł tak głogami i tarnią, jak twierdzi poetka. Zawałiło go czasem trochę chrustu i gałęzi kradzionych z pańskiego lasu; częściej, o wiele częściej i gorzej próbowali go zepsuć źli ludzie, kopiąc doły i stawiając zasadzki dla odstraszenia chłopa, aby nie chodził tą drogą: ale pomimo to, chodzą ludzie i coraz więcej, da Bóg, chodzić będą. Zapewne. Gdyby utwory takie jak pani Konopnickiej, przejęte i natchnione nietyle miłością ludu, ile raczej nienawiścią do jego najbliższych sąsiadów, z którymi żyć i godzić się musi, jeśli nie chce stać się jakąś obcą rośliną na naszym gruncie, jeśliby utwory takie przeniknęły pod słomiane strzechy, mógłby tam powstać jeżeli nie pożar, to przynajmniej żarzewie niechęci i niezgody. Na szczęście, lud poezji p. Konopnickiej nie czyta, a gdyby coś podobnego usłyszał, miejmy nadzieję, że posłuchałby prędzej zdrowej rady, ostrzegającej go z dwóch ostatnich gościńców, niż nawoływania fałszywych przyjaciół, łudzących go niebezpiecznym mirażem.

## V.

Ale nie do samego tylko społeczeństwa odnoszą się skargi i zarzuty poetki. Ponad niem trafiają one wyżej, w Boga.

Owo dziecko bezdomne, konające na progu zamkniętego kościoła, nie mając matki, skarży się do Boga, mówi: Ojczy nasz... Jaki? woła na to poetka:

„ . . . . . o! synu królewski!  
Ojca twojego narody zwa Bogiem,  
A ty, wpatrzony w ten pałac niebieski,  
Konasz bez dachu, za progiem?“

I zwracając się do Boga, interpeluje Go w ten sposób:

„ . . . . . czy słyszysz to dziecię,  
Co usta z nędzy zbieleły otwiera?  
Ach! ono wierzy, żeś ojcem mu przecie,  
I z wiarą taką — umiera!“

Trzeba przyznać poetce, że myśli swój nie obwija w bawełnę. Jestto najzupełniejszy akt oskarżenia przeciw Bogu za to, że nie tak obszedł się ze swoim stworzeniem, jak tego sobie życzyła pani Konopnicka.

Ale Bóg nietylko pozbawionym jest uczuć ojcowskich dla jednostek. Jest On również wysoce, w karygodny sposób obojętny na cierpienia ogółu.

„Z błysków masz szatę, a z gromów koronę,  
A stopy Twoje na słońcu są wsparte!  
Ezy ludzkie cóż są? ach! — rosy kropelki —  
A przecież wszystkie masz je policzone...  
Co? policzone... co? i nie otarte?“

Czasem, w chwili lepszego usposobienia, przypuszcza, że Chrystus zasnął i każe Go zbudzić:

„O ludy! zbudźcie wy tego Chrystusa  
Z marmurów ciszy!  
Bo oto na świat przychodzi pokusa.“

Czasem znów, rozszerzywszy się nad ujemnymi stronami życia, daje w końcu Bogu uboczne tylko napomnienie:

„Smutno mi tylko, żeś Ty, wielki Boże!  
Całej tej nędzy jest — panem!“

albo też w innym miejscu:

„I nie wiem, czemu Bóg wielki w błękitie,  
Nie zerwie z prawdy słonecznej zasłony.“

Ale wreszcie, gdy delikatne napomnienia i nagany nie odniosą skutku, cierpliwość jej się wyczerpuje, wybucha oburzeniem na niewłaściwą gospodarke niebieską:

„Czy Tobie, Boże, imię „grom i burza,  
Że świat Twój w ogniach się nuża?“

Czy Tobie imię „śmierć i wytepienie,  
 Że się krwi leją strumienie?

I tak dalej przez parę stronnic. Jestto cały łańcuch—nużący swą długością—bardzo energicznych oskarżeń, czemu Bóg „prawdzie nie daje głośnego krzyku,” czemu wieki nie lecą prędszej do ideałów; czemu Bóg nie powie ludzkości spragnionej, żeby piła światło słońca; czemu pozwala:

„ . . . . by w zmierzchy dziejowe  
 Szła krwawiają piersi i głowę?”

X Oczywiście. Pani Konopnicka niezadowolona jest z rządów Pana Boga. Widać Pan Bóg postarzał się i nie jest w stanie dać sobie rady ze światem, albo też sprawy jego z lekkomyślną obojętnością zaniedbuje. Speech poetyczny p. Konopnickiej jest wyrazem oburzenia i nieufności źle rządzonych do rządu; parlamentarnym turniejem opozycji, mającym za cel zburzenie — nie ministerium nawet, opozycya jest republikańską — ale samego monarchy. I, jak każdy przywódca opozycji, czekający na tekę albo na dyktaturę, poetka, obok krytyki dotychczasowej władzy, umieszcza na innym miejscu własny swój program w razie, gdyby doszła do władzy nad niebem i ziemią. Oczywiście program nieskończenie piękniejszy i lepszy od rządów Bożych.

„ . . . . gdybym była Bogiem, to każdemu  
 Dałabym spokój, i światło, i zdrowie!”

Wyznaję, że dotąd pamiętając katechizm, sądziłem w prostocie ducha, że Pan Bóg jest lepszym i mędrszym od wszystkich ludzi; po przeczytaniu poezji p. Konopnickiej, przekonany jestem, że byłem w błędzie. Są ludzie od Pana Boga mędrsi i lepsi — w każdym razie istotą taką jest pani Konopnicka. X

Ale żart na bok. Już sama naiwność tych rekryminacji jest pełną rękojmą szczerości u autorki, a przytém ze strony wieszczki postępowego obozu i to dobrze, że w Pana Boga wierzy, choć z nim się obchodzi, jak neapolitańczyk grzmocący kijem św. Januarego za niewysłuchaną modlitwę. A ponieważ poetka bierze na siebie rolę oskarżyciela, pozwolę sobie na chwilę zająć miejsce obrońcy Pana Boga.

Kamieniem obrazy w ustroju świata, w losach jednostek i ogółu, jest dla p. Konopnickiej wielkie prawo cierpienia, rządzące życiem ludzkim. Gdyby to życie pozbawionem było jutra, żal miałby uzasadnioną podstawę. Widzimy codzień, jak „giną święci, giną mili,” a żyją, zwyciężają mniejsi od nich i gorsi, często zupełnie źli. Widzimy wszędzie niewinność prześladowaną, nędzę i cierpienie upadające pod brzemieniem życia. I w tém właśnie leży jeden z dowodów przyszłego istnienia, że te niesprawiedliwości pozorne, tak niezgodne z ogólną harmonią i doskonałością świata, muszą znaleźć kompensacyę, uzupełnienie w zagrobowém jutrze. Dla nas, którzy widzimy jedną tylko, ziemską stronę naszego bytu, niejedno może w nim razić: do sądu je-

dnak uprawnieni jesteśmy tak mało, jak przechodziem, któryby widząc jeden bok gmachu wcisnięty pomiędzy domy, chciał z tego kawałka wyrokować o całości.

Ale niedość na tém jednym. W nauce Chrystusa (przepisy jej przytaczam dlatego, że autorka zaznaczyła kilkakrotnie, mniej lub więcej wyraźnie, wiarę w Zbawiciela świata) cierpienie ziemskie nie jest nieszczęściem wcale. Kryje się w niem jakaś głęboka, tajemnicza siła, której znaczenie tém najlepiej da się określić (mówię ciągle ze stanowiska chrześcijańskiego), że Bóg Syna Swego oddać musiał na doczesną mękę dla odkupienia ludzkości tą bezmierną ofiarą. Teologowie chrześcijańscy, autorowie ksiąg ascetycznych, zgadzają się na to wszyscy w opisach życia wewnętrznego, że dusza, wznosząca się do Boga w kontemplacji po szczeblach coraz to większej doskonałości, tém samym skazuje się na coraz to mocniejsze cierpienie moralne i bólem najwyższym okupić musi każdą łaskę i pociechę zgóry. Ta konieczność zapłaty i ofiary czyż nie daje się widzieć i w życiu zwyczajném, codzienném, w którym każda chwila prawdziwego szczęścia musi być okupioną cierpieniem i bez cierpienia nie ma dla nas wartości, a każde poświęcenie i zaparcie się siebie, choćby w najdroższych uczuciach, nosi w sobie pierwiastek najwyższej rozkoszy, jakiej człowiek doświadczyć może na ziemi?

W noc gwiazdzistą, na pogodném niebie oko nasze może się wpatrzeć w najpiękniejszy z symbolów tego wszechświatowego prawa cierpienia i tęsknoty. Pociągnięte atrakcyjną siłą tysiące planet dąży do słońc dalekich, zbliża się do nich, i odepchnięte inną jakąś siłą, śpieszy dalej wkoło ogniska światła, ciepła, życia, patrząc na nie, chwytając jego promienie i dojąc do niego nie mogąc, zawsze od celu swego równie blizkie i równie dalekie, żywe obrazy tęsknoty i niezaspokojonego pragnienia. Tak przez wieki wieków, od początków swego istnienia, Tantale kosmiczne rwą się naprzód i wstrzymują w porwie, gnane eliptyczną drogą, aż wreszcie gdy wypełnią się przeznaczenia, gdy skończy się czas próby, zbliżają zwolna swe kręgi i toną w odmęcie światła, z którego wyszły...

## VI.

✕ Osobista uraza, jaką ma pani Konopnicka do Boga, przenosi się niestety i na widomą reprezentacją na ziemi Chrystusa i Jego nauki, na Kościół. Wyrazem tego uczucia jest cała książka, złożona z trzech dramatycznych fragmentów, a ciekawa i dlatego także, że pokazuje nową stronę jej twórczości i pozwala lepiej ocenić skalę i zakres jej talentu.

W historii znaniej filozofki aleksandryjskiej, Hypaty, córki ateńskiego profesora Teona, przedstawia poetka konflikt pomiędzy zwycięskim chrystyanizmem i szukającą ostatniego ratunku w mistycznym spirytualizmie filozofią pogańską. Kreśli tedy trzy obrazy. W pierwszym

Piotr, fanatyczny mnich z Tebaidy, mówi szeroko o swęj nienawiści do pięknej poganki, odciągającej wykwintny świat Aléksandryi od chrześciańskich kazań, i żeby przeciw nięj wzburzyć tłummy, pod jęj dom ciągnie ciało zamordowanego sługi biskupa. Drugi mnich, Amoniusz, słucha go cierpliwie, na propozycją wspólnego przeniesienia trupa zapala się naraz i niewiadomo dlaczego zaczyna krzyczyć, że ma w tęg chwili cudotwórczą siłę i może nią trupa ożywić, albo kolegę trupem położyć; pomimo tego świętego oburzenia jednak, nie przeszkadza Piotrowi i patrzy obojętnie na spełnienie jego zamiaru. Na tęg kończy się obraz pierwszy.

W drugim Hypatya filozofuje trochę z młodemi przyjaciółmi, a właściwie bawi się rzucaniem bardzo oklepanych frazesów. Przerwywają jęj urzędnicy, którzy z powodu trupa znalezionego w przedsiönku, na mocy jakiegoś oryginalnego prawa, które gdyby nawet istniało, tutaj wygląda całkiem nienaturalnie i dziwacznie, przychodzą wyrznąć niewolników Hypatyi. Hypatya, mając ich i tak stracić, woli być tanim kosztem wspaniałomyślną i dać im wolność. Wobec postawionęj przez poetkę alternatywy, ta wolność ogłoszona nie bez patosu, wygląda poprostu komicznie. Na tęg kończy się obraz drugi.

W trzecim orszak zabitego przechodzi obok Hypatyi, która rzuca na trumnę róże. Tłum upatrując w tęg prowokacją, rzuca się na nią, podburzony przez mnichów. Hypatya szepcze upadającemu w jęj obronie przyjacielowi efektowy frazes o nieśmiertelności duszy i sama upada, przebita przez Amoniusza.

Już z tego streszczenia widać, jak to musi być słabe, nieumotywowane i niepowiązane. Szereg błędów technicznych łączy się z łańcuchem historycznych fałszów i psychicznych nieprawdopodobieństw. Nie będę się tu wdawał w ich szczegółowy rozbiór, nie będę wykazywał, że w tęg chaotycznęj zbieraniu efektowych frazesów nie ma ani jednęj żywęj postaci, tylko gromadka marynetek, robiących najdziwniejsze skoki za poruszeniem nitki, ani jednego usprawiedliwionęgo słowa i czynu. Hypatya świadczy sama za siebie: do nięj odsyłam po sprawdzenie słów moich. Pragnę tylko podnieść parę luźnych szczegółów, dowodzących, do jakiego zaślepienia w swęj stronniczęj niechęci doszła autorka.

Każdy, ktokolwiek jest oznajomiony, choćby z Renana, z dziejami początków Chrześciaństwa, przyzna, że konflikt jego z poganizmem był konfliktem demokratycznego pierwiastku w swym najwyższym, idealnym wyrazie, z najgorzēj pojętym pierwiastkiem arystokratycznym. Wprawdzie nowa religia, unikająca wszelkiego mieszania się w zewnętrzne sprawy świata, w stosunki prawno-państwowe, ograniczała swą działalność do moralnego równouprawnienia, podniesienia, wyzwolenia najniższych warstw społeczeństwa; ale w tym zakresie równouprawnienie musiało być zupełne, skoro zaraz w początkach rzymski niewolnik zajął stolicę Piotrową i z nięj dawał rozkazy patrycyuszom i dostojnikom Palatium. Owóz, w IV wieku po Chrystusie,

w miejscu, w którym tradycje kościelne były tak żywe i nie miały czasu, ani powodu zmienić się pod wpływem nowych żywiołów i odmiennej warunków, tylko poganka Hypatya, pragnąca wskrzesić dawny ustroj świata z jego milionami ofiar, dających krew i mękę dla wytwornej rozkoszy niewielu, mogła wspominać o „podłych, nikczemnych, przewrotnych instynktach nędznej niewolnicy” i pytać: „kiedyż to niewolnik bywa niewinnym?” albo: „cóż jest niewolnik, że go tak bronicie?” W ustach chrześcianina, wiedzącego o duszy nieśmiertelnej u najnędzniejszego bliźniego, słowa te zupełnie niemożliwe. Natomiast przeciwstawienie bezlitosnemu prawu wyższej potęgi:

„Co sprawiedliwość w błękitach odważa  
Dla sług prefekta — i dla łez nędzarza!”

mogło wyjść jedynie tylko od jednego z tych chrześcian, którzy pamiętali jeszcze, jak ich ojcowie dawali krwią i męką świadectwo tej wyższej potędze, zgnieceni fizycznie ale nie duchowo tém prawem największej niesprawiedliwości. Neoplatończyk, pomimo zaczerpniętych z chrystyanizmu pierwiastków etycznych, na coś podobnego z pewnością się nie zdobył.

O ile prawdopodobnym jest u dwóch adeptów chrześciańskich, z których jeden zdaje się być cudotwórca, całe ich zachowanie się w pierwszej scenie — pozostawiam to sądowi czytelników.

Równie sprawiedliwą i bezstronną jest autorka w pozostałych swych „Fragmentach.”

Drugi z rzędu przedstawia historią Vesaliusa, hiszpańskiego anatoma, który za tajne wykopywania ciał z cmentarza, został uwięziony i przez świeckie sądy — a nie przez inkwizycją — skazany został na wygnanie. Ciekawa rzecz czy za podobne przekroczenie sądy dzisiejsze ukarałyby go łaskawiej?

U pani Konopnickiej występuje oczywiście na scenę inkwizycją, której przywódzca, tak sobie, odrazu, zobaczywszy trupa na sekcyjnym stole, wyklina anatoma stante pede i skazuje go na stos. Procedurę kościelną, jak widzimy, upraszcza sobie autorka; ale to jej daje szerokie pole do dalszego ciągu czczej, kłiwiej a napuszonej deklamacyi, która od początku obrazu niewstrzymaną falą leje się z ust Vesaliusza. „Wyklęty — z czego? — czy z błękitów nieba? z dobroci Boga? z potęgi pracy? z królestwa myśli?” i t. d. Ale nie — czcigodny panie — jeśli, o czém wątpię, naprawdę spotkała cię ta przygoda — z tego wszystkiego nikt cię nie myślał wyklinać; tylko, jak chirurg, co ma prawo odciąć od ciała zgangrenowany członek, tak i Kościół skorzystał z prawa przysługującego każdemu stowarzyszeniu i wykluczył ze swego grona jednego ze swoich członków. Ale takie proste pojmowanie rzeczy zmniejszałoby o parę stronnie obfitość pięknych ogólników, które w efektowny sposób kończą się okrzykiem Vesaliusza: „światła!” i odpowiedzią inkwizytora: „do ciemnicy!”

Jestto tak w swéj zaciekłości niezręczne, że potrafi chyba jakiegoś bardzo zielonego młokosa zapalić do antykościelnego kulturkampfu.

Ostatni obraz — to oczywiście Galileusz. Konika, na którym od trzech wieków jeżdżą wszyscy antykatolicy hecarze, nie mogła przecie w spokoju zostawić pani Konopnicka. Przynac jój trzeba naprzód, że tym razem ze swojej strony przynajmniej, nie dodała fałszów do tych, jakimi zwykle otacza się sprawa wielkiego myśliciela, powtóre, że pod względem literackim nieskończenie lepiej się wywiązała ze swego zadania. Z trzech fragmentów jest to jedyny, w którym oprócz wodnistych frazesów i retorycznej ornamentacyi jest pewna treść, kilka żywych osób, jakiś zakrój na dramatyczny utwór. Wprawdzie osoby działające nie są takie, jakie były w rzeczywistości, albo jakimi być mogły, ale przynajmniej są, ruszają się, działają, mają indywidualność własną i charakterystykę. Pierwsza połowa drugiej sceny pod względem artystycznym ma niezaprzeczoną wartość. Przeciwnieństwo charakterów i duchowych prądów zaznaczone dobrze, najfałszywiej wprawdzie pod względem historycznym, ale z plastyką i wyrazistém nacechowaniem konturów. Jestto raczej szkic do dramatycznej sceny, niż obraz dramatyczny, ale szkic zdradzający rękę artysty.

Pomimo tych zalet, nie jest wolny „Galileusz“ od poważnego zarzutu, jaki trzeba zrobić technice „Fragmentów.“ Dowodzą one ze strony autorki zupełnego braku środków opanowania szerszego materiału, wprowadzenia w ruch bardziej skomplikowanej maszyny artystycznej. Talent p. Konopnickiej nie jest co prawda ani różnostronny, ani bogaty w treść i zasoby—widzieliśmy jak niewiele strun ma jój lutnia i jak monotownie powtarzają się w jój melodyach wciąż te same motywa. Nie dość jednak na tém, że motywów tych nie wiele—nie są one zdolne wytworzyć ogólniejszej treści, rozwinąć się, ulecieć w górę, stworzyć większą całość. Poetka umie tylko w formę wytworną ubrać jedną myśl, jedno uczucie — gdy myśli kilka płacze się razem i różnobarwne włókna trzeba łączyć w jedno pasmo, ręce jój opadają bezsilnie. Brak jój organizacyjnej zdolności, brak umiejętnego przeprowadzenia charakterów i dramatycznej akcji, brak jedném słowem tego, co stanowi główny warunek każdego większego utworu. Nie wiem jak będzie w przyszłości — dotąd jednak twórczość p. Konopnickiej nie ma w sobie pierwiastków wystarczających do stworzenia większego dzieła. Talent bardzo w swoim rodzaju doskonały, ale skala jego niska — i poetka czuć to musi sama, skoro od czasu „Fragmentów“ nie porwała się na żadną szerszą całość.

A teraz, wracając do myśli przewodniej „Fragmentów,“ co o tój powiedzieć, jak ją tłómaczyć i oceniać?

Przedewszystkiém jest ona wykołajeniem poezyi z jój właściwego toru, znizeniem jój do politycznego i wyznaniowego pamfletu a bodaj czy nie paszkwilu. Poetka powiada sobie: Kościół katolicki od początku swego był i jest maczugą zabijającą wszelki szlachetny poryw,

wszelką samodzielną inicjatywę, wszelką dążność do prawdy, do światła, do swobody. Trzy ciosy téj maczugi, krwawe, ślepe, bezmyślne a zaciekle jak wszystkie, przedstawię jako trzy okazy wpływu Kościoła w różnych epokach na zdziczenie i ogłupienie ludzkości. A ponieważ mam prawo używać poetycznej licencji, pozwolę sobie przedstawić te sceny w takim świetle, jak mi się podoba, choćby ono było jaskrawszem od tego, w jakim mi je podano. Efekt będzie tém większy.

I efekt jest w istocie większy. „Nowa Pressa” (wied.) i niektóre jój sąsiadki w innych krajach, nie wywołują innego swemi kulturowymi artykułami. Gdyby to była książka naukowa, łatwiej byłoby udowodnić fałsz, a popularność byłaby mniejszą — ale obrazki dramatyczne! Te czyta każdy, każdy niemi się przejmując, powtarza ich oskarżenia i myśli przewodnie, a gdy ich bezpodstawność udowodni się, woła: ażeż to poezya! Tak, to poezya... I czytając tę poezyę, młode pokolenie, uwielbiające swą wieszczkę, myśli sobie: po cóż mam dla téj idei ciemnoty, fałszu, ucisku, cierpieć i walczyć? Czyż nie lepiej pozbyć się odrazu tego zbrukanego szmatu przeszłości i wejść na szerokie tory, ku którym nawołuje mnie karyera, powodzenie materialne, wytrzeźwiony ze złudzeń i mrzonek rozsądek...

Kiedy się spojrzy na datę i na miejsce wydania téj książki, robi się doprawdy bardzo, bardzo ciężko na sercu...

Reasumując to, co powiedziałem o pani Konopnickiej, sędzę, że zdanie moje o niej streścić mogę w dwóch słowach. Talent, pomimo artystycznej doskonałości jego form, nie pierwszorzędny; kierunek umysłu, pomimo jego szlachetnych porywów, skrzywiony, niezdrowy i w owocach swój twórczości bardzo szkodliwy.

Że można w małych rozmiarach zamknąć bardzo wielki talent, dowodzi tego, żeby dalej nie szukać, Beranger. Tylko, w takim razie, szczupłość rozmiarów bywa zawsze u artysty dobrowolną — w te ciasne ramy wkłada on tyle treści, tyle umysłowych zasobów, ileby u innego wymagał obszerny utwór i gdyby mu się podobało, potrafiłby te ramy rozszerzyć z równą łatwością i powodzeniem. U p. Konopnickiej jest inaczej. Urokiem jój utworów nie jest treść, przelewająca się przez brzegi, ale tylko forma, a że ram swojej twórczości — jak dotąd przynajmniej — nie jest w stanie rozszerzyć bezkarnie, dowodem tego są Fragmenta.

O tendencji swych utworów, o owocach, jakie wydają ziarna przez nią rzucone w ziemię, ona sama zdaje mi się miewać czasem słabe jakieś przecucie. Nie wtedy, kiedy woła, że przez pola puste, jak świt przyszłych wieków, idzie i rzuca „siew bratniej miłości,” ciszę, pogodę.

„Dla tych, co słabi — i dla tych, co prości.”

Nie; ziarno jój posiewu nie jest „zdrowe i płodne i czyste,” a ciepło nie wygląda na łagodny blask miłości, ale raczej na pożarną łunę nienawiści, i gdyby nic więcej po niej nie zostało, jak to, co stworzyła

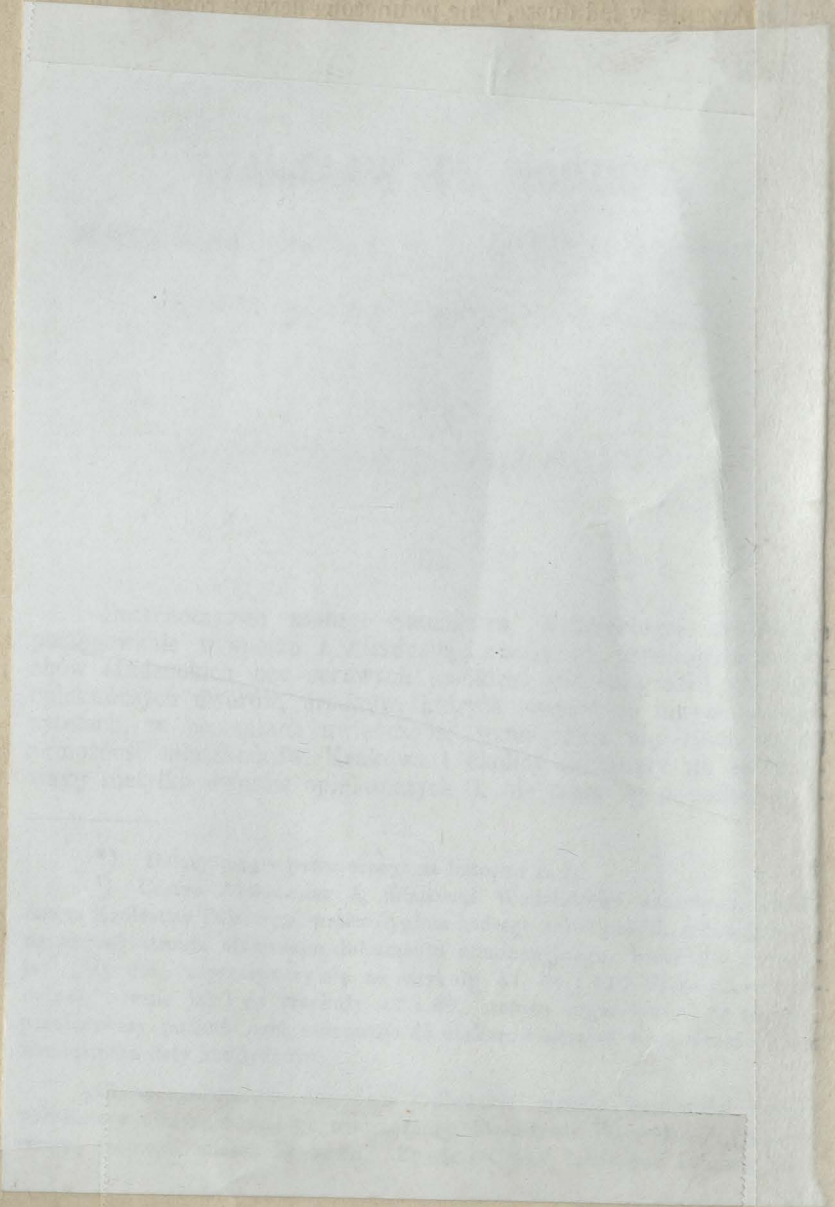
dotąd, kamień jój mogilny nie będzie miał napisu „braterstwo i zgoda,” a na końcu drogi, którą nas chce prowadzić, nie będzie „miłości i spokoju!” Nie; pieśń jój wzruszała nieraz i wzruszać będzie, tylko nie „zaskrzepłe w lód dusze,” ale podniecone nerwy; rozżarzy nie jedno serce, ale ani jedną „tęży bratniej” nie osuszy.

Ale za chwilę po tych wybuchach pychy, co „mówić ma siłę!” Z ust jej wyrwa się jakby półwyznanie. Woła wprawdzie do Boga, że „jeśli zgrzeszyła, to tylko przed Nim,” ale zarazem tłómaczy się, dla czego w słowach jój tyle było skarg i goryczy, dla czego tak często rwało się jój serce i krzawiła mowa nie własnym cierpieniem, ale nędzą i krzywdą współbraci. Wyznanie gorące i szczere, świadczy wymownie, że poetka, jakiegokolwiek były jój czyny, działała zawsze w dobrej wierze, pod wpływem prawdziwego uczucia; zapatrzona w światło, które jój się zdawało światłem prawdy, ideału. Ci wprawdzie, których poezya jój uwiodła na manowce, będą mogli może kiedyś jój powiedzieć, że nie przed samym tylko Bogiem zgrzeszyła—nie będą mieli prawa jednak jak tyłu innym, zarzucić jój, że widziała przepaść, ku której szedł jej gościniec.

Dla nas, patrzących z dołu, losy téj postaci, pełnej uroku i piękna, pomimo jój stron ujemnych, przypominają jój własne poetyczne porównanie do człowieka porwanego wichrem i unoszonego ponad ziemią, Bóg wie dokąd i dopóki. Ach! i ją porwał także wicher, któremu nie umiała się oprzeć i odrywając złote pióra z jój skrzydeł, niesie ją w dal, ku nieznanym brzegom, ponad ciemne otchłanie i skaliste urwiska. I smutno się robi myśląc, że ten duch biały, któremu Bóg położył na czole znak swoich wybranych, wolał stać się kometą błędną, latającą bezcelnie wśród chłodnych i pustych przestworów, niż jedną z gwiazd złotych, okrążających słońce.

Jan Gnatowski. X

F. 7996



<https://rcin.org.pl>

F

7996